

ANIOŁ STROŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.
Wychodzi co tydzień.

W dzień zaduszny.

W dzień smutnych wspomnień, w ten dzień żałoby,
Światło i kwiecie niesiem na groby;
Więc i ty dziecię złóż rączki małe,
O wiekiśtą światłość i chwałę,
Módl się wraz z tymi, którzy dziś płaczą,
Choć nie wiesz jeszcze, co te lzy znaczą.

Tobie ten cmentarz jarzący, złoty,
Nie sprawia jeszcze gorzkiej tęsknoty,
Dla ciebie barwne — żałoby kwiecie;
Lecz gdy wśród grobów grób ujrzysz, dziecko,
O który nie dba ręka nieczyja,
To zmów serdecznie „Zdrowaś Marya“!

Z. M.



Prawdziwa odwaga.

W Szwajcaryi, w starożytnym Bernie, odbywał się walny, doreczny jarmark; ciężkie ładowne wozy, lekkie dwukołowe karyolki, tłumy jezdnych i pieszych, wszystko ciągnęło na główny rynek, gdzie ruch był największy.

Korzystając z ogólnego ożywienia, gromadka wesółych chłopców pobiegła na wały; tam ściągala licznych widzów chęć przypatrzenia się „niedźwiedziowi berneńskiemu,” trzymanemu w głębokim, ocembrowanym dole. Zwierzę to, przyjęte na godło miasta, starannie zawsze bywa przez mieszczan utrzymywane, a nawet owego dnia, wielkiemu, brunatnemu misiowi groziła raczej niestrawność, tak mu obficie znoszono różnego rodzaju przysmaki. Nad miarę syty niedźwiedź ułożył się do drzemki na legowisko, nie zważając na krzyki swawolnych chłopaków, pragnących zabawić się dłużej widokiem jego ciężkich, niezręcznych ruchów.

Chłopcy szukać poczęli innych rozrywek, mocując się, ścigając i t. p. Zręcznością i siłą wyróżniał się wysoki, krzepki Rudolf Kahn. Chcąc wzbudzić podziw towarzyszy, wszedł na szczyt wysokiego wału, i biegł po nim kawał długi. Była to niebezpieczna próba, gdyż jeden krok fałszywy mógł go stracić w przepaść sto stóp głęboką.

— Aha! — zawołał, zeskakując z muru — potrafi który z was taką sztukę? Odważyłbyś się na to ty, panie Ostrożnicki?

Głośny śmiech zebranych towarzyszył tej przymówce, zwróconej do cichego, spokojnego chłopca, Gotfrida Tapfera.

— Nie próbowałbym nawet podobnej zabawy — odparł zagadniony z niezachwianym spokojem.

— Dla czego? Czy boisz się? — pytał Rudolf z szyderstwem.

— Tak, boję się uchodzić za szaleńca, na co

zasłużyłbym, narażając życie bez pożytku, dla nierozsądnej zabawy lub czezej próżności — rekl Gotfrid.

Śmiech ogólny zwrócił się teraz przeciwko niedoroslému samochwałowi, który sam nie umiał znosić żartu i rozgniewany, zamierzał już wziąć się do pieści, gdy przerwał kłótnię krzyk nieopisanej grozy, dochodzący z nad jamy niedźwiedzia.

Chłopcy, zaniepokojeni i ciekawi, pobiegli wszyscy w tamtą stronę.

Miedzy tłumem widzów, ciskających się dookoła ogrodzenia nad jamą, stała wieśniaczka z dzieckim na ręku. Chcąc zabawić córeczkę widokiem śpiącego misia, matka uniosła ją w górę po nad sztachety. Z zachwyty czy z przestraszn maleństwo wyrwało się z rąk kobiety i padło prosto do dołu niedźwiedzia. Gdyby dziewczynka uderzyła główką o kamienną cembrowinę, byłaby poniosła śmierć na miejscu, ale spód jamy wysłany był grubo słomą i dziecko zdawało się ocalone, lecz po to tylko, aby paść ofiarą gniewu rozbudzonego nagle i rozgniewanego zwierzęcia.

Wśród obecnych w górze zapanowało niewypowiedziane zamieszanie: jedni żądali pestronka, którego nikt nie miał pod ręką; drudzy radzili zabić niedźwiedzia, ale po fuzyę trzeba było iść do ratusza, albo na polankę na drugą stronę miasta, słowem, mimo krzyków i nawoływań, jawnem było, że nikt skutecznej pomocy dziecku nie poda. Nagle jakaś postać wskoczyła do dołu wprost na niedźwiedzia.

— To Gotfrid Tapfer! — wołano.

— Niech go Bóg ma w swojej opiece!

I słusznie wzywano dla niego opieki Boskiej, bo w tej chwili niedźwiedź stanął na tylnych łapach, i ruszył zwolna, z paszczą otwartą pomrukując groźnie ku Gotfridowi, który trzymał w ręku dziecinę.

Dzielny chłopiec nie stracił jednak przytomności i podążył na środek jamy, gdzie stał pień drzewa, ze ściętymi gałęziami, tworzącymi rodzaj drabiny; po nich niedźwiedź wchodził i schodził z góry ku ogólnej uciezce widzów. Na ten pień wskoczył nieustraszony Gotfrid, trzymając w jednej ręce dziewczynkę, a drugą czepiając się kołków dążył na górę. Ostatni szczebel był oddalony co najmniej o 3 łokcie od ogrodzenia, otaczającego jamę. Tymczasem niedźwiedź, coraz bardziej zły, drapał się na drzewo za ofiarami swemi i zguba ich zdawała się niechybna.

Naraz przybyła niespodziewana pomoc: Rudolf, rozpychając tłum, sam wskoczył na mur po za baryerę i niepomny, iż się naraża, wyciągnął ręce do Gotfrida.

— Rzuć mi dziecko — wołał — tobie podam drag.

Gotfrid zrobił, jak mu było zalecone; Rudolf zręcznie dziecko uchwycił, a liczne dłonie

wyciągnęły się dla odebrania uratowanej dziewczynki.

Tymczasem Gotfrida dosięga prawie paszcza okrutnego zwierza i zdawała się grozić śmiercią; dzielny chłopiec przecież nie wątpił jeszcze o ratunku; szybkim ruchem zdjawszy z nogi drewniany chodak, rzucił nim z całych sił w ślepią niedźwiedzia. Ten zaryczał straszliwie, cofnął się o parę szczebli, lecz z tą większą wściekłością rzucił się znowu, w pogoń za ofiarą. Gotfrid czuł już niemal gorący oddech zięjący z paszczy zwierzęcia, a widząc blizki swój koniec, polecał Begu duszę. W tej samej chwili wszelakoż myśl o niebezpieczeństwie i ponoszonych mękach towarzysza niezwykłą odwagą natchnęła Rudolfa; nie zważając na to, że życie swe naraża, przeskoczył baryerę, stanął na samym zrębie cembrowiny, a jedną ręką trzymając się ogrodzenia, drugą pochwycił Gotfrida i nadludzkim prawie wysiłkiem przyciągnął go do siebie. Odważny Gotfrid zawisł chwilę nad jamą, lecz kilka dłoni pochwyciło go i wydobyło szczęśliwie.

Po chwili dwaj młodzieńcy znaleźli się na ziemi, witani radosnemi okrzykami tłumy i łzami wdzięczności matki dziecięcia.

— Daj mi rękę, przyjacielu — prosił Rudolf — i wybacz niedorzeczne słowa, któremi uwłaczałem twojej odwadze. Jesteś najodważniejszym z nas wszystkich, bo wobec prawdziwego niebezpieczeństwa gotów jesteś życie poświęcić dla niesienia drugim ratunku.



Historya o Aladynie.

Powieść arabska.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy tak się Zobeida z mężem umawia i perswaduje mu, Aladyn tymczasem gniewa się i ob staje przy swoim.

Dowiedział się o chciwości Aladyna jego duch opiekuńczy, Harun Alraszyd i postanowił go za to ukarać.

Kazał więc przywołać do siebie szejka Bedredyna, Saladyna i wielu innych, aby się narażać z nimi jak postąpić ma z Aladynem. Gdy radę ukończono, kalif nakazał milczenie, tak,

żeby nikt nie zdradził tajemnicy. Potem kazał się wszystkim rozejść. Sobie tymczasem kazał zaprzadzić parę arabskich ogierów białą tarantowatych (tj. białą koń, po którym czarne kule jakby jabłka gęsto osadzone, z natury) i odjechał: dokąd nie wiadomo. Dość na tem, że gdy kalif jedzie przez ulicę, trafia tam Aladyna jadącego ze Solimanem Pfendim, ale odwrócił twarz swoją, aby nie był poznany. — Aladyn widział tak piękne konie, zaraz zapragnął mieć takowe, i zapytał Solimana, kto jest ten co ma tak piękne konie?

Ten mu odpowiedział, że to był sam Harun Alraszyd.

Jadąc dalej spotkał Saladyna, u którego dawniej pracował w ogrodzie. Saladyn mu się uklonił jako panu bogatemu, lecz Aladyn na niego ani wejrzał, tak jakoby go wcale nie widział i nie znał. Saladyn się rozśmiał i poszedł dalej.

Wieczorem nastąpiła wielka uczta w domu Aladyna, podczas której Morabek Juzuf, marszałek dworu Aladyna, przymieszał opium do napoju, który miał podać Aladynowi, aby mógł jak najprędzej zasnąć snem twardym, z którego by się przez godzin 12 nie mógł przebudzić. Miał bowiem rozkaz od samego kalifa, aby go uspił. Potem słudzy porwali Aladyna, wsadzili go do lektyki i odnieśli do domu Saladyna, a rozebrawszy go z bogatych szat, włożyli na niego dawną jego koszulę i spodnie, i tak jak dawniej legał, położyli go na tym samym sienniku i nakryli go tym samym co dawniej kocem i tak go zostawili.

Gdy słudzy Saladyna o tem wszyscy byli uwiadomieni co się stać miało z rozkazu kalifa, zaczęli głośno mówić, niby to się zwoływać do pracy; a jeden z nich zawołał:

— Jeszcze nie ma Aladyna.

Na te słowa Aladyn się przebudził, i widzi, że leży w tym samym chlewie Saladyna, na tym samym własnym sienniku, i tymże własnym kocem nakryty. Zadziwił się mocno co się to stało?... Wczoraj był wielkim panem, gdzie mu wszyscy się kłaniali, a dziś jest czem był dawniej, to jest robotnikiem. Nie mógł sobie tego wytłumaczyć, czy to jest sen, czy na jawie. Przecież był panem! i rzeczywiście miał piękną żonę, rozmaite konie, powozy, pałac, ogród, sprzęty i bogactwa, — gdzież to jest?... gdzie się podziało? — Wczoraj opływał w rozkoszach, we wszelkich wygodach, a dziś znów znalazł się w okropnej nędzy.

— Ha — pomyślał sobie, — to był tylko sen!... a sen słodki i miły, bo oto wielki Allah zesłał mi go, abym choć raz na świecie skosztował rozkoszy, choć nie na jawie, to we śnie, abym też przynajmniej miał o niej jakieś wyobrażenie.

Wtem zawołał jeden z robotników:

— Aladynie! cóż to? czy nie widzisz, że

już słońce wysoko na niebie, a ty śpisz i nie wstajesz do pracy! Czy chcesz, aby cie Saladyn od pracy odegnał, byś się znów tułał tak jak dawniej bez chleba i dachu.

Teraz mu ciężar wielki zawisł na sercu, zerwał się ze swego siennika, podniósł go i rzucił w kąt, mówiąc to co dawniej:

Wygodne łóżko dały mi nieba,

Miękkie i ciepłe, ślać go nie trzeba.

Potem ciężko westchnął nad swoim przeznaczeniem, pochwylił za szpadel i poszedł do pracy razem z innymi. Co się tam w jego sercu działo, to tylko jemu wiadomo. Mocno go dziwiło, że inaczej dziś zastał wszystko w ogrodzie, aniżeli było wczoraj. Odegnął przecież od siebie wszystkie myśli, rzucił się do pracy, i tak chętnie pracował jak dawniej.

Przed południem wszedł do ogrodu Saladyn, a widząc pracującego Aladyna, roześmiał się i zapytał go:

Czyś już po śniadania?

— Do tej chwili jeszcze nie jadłem — odpowiedział Aladyn.

Saladyn wróciwszy do domu, wysłał mu kawał grubego razowego chleba. Aladyn przyjął to z westchnieniem, zjadł aż miło i podziękował Allahowi. Zamknął i słowa nie mówił do nikogo, tylko ciągle szczerze Saladynowi pracował, nawet nikomu nie opowiadał błędnego snu swego, jak mu się długo o szczęściu marzyło.

Tak pracował przez dwa tygodnie, aż kalif zawołał Saladyna i zapytał go, jak się przez ten czas Aladyn zachowuje.

— Ciągłe mi szczerze pracuje, nie wspomni o niczem co go dawniej otaczało; zdaje mu się jakoby to wszystko było snem — odpowiedział Saladyn.

— Pamiętaj, żebyś mnie nie zdradził, bo ja zamyślam jeszcze z nim odegrać czarodziejską sztukę; a teraz odejść.

— Saladyn pokłoniwszy się monarsze, odszedł do domu.

(Dokończenie nastąpi).



Zgodne rodzeństwo.

W pewnym domu było troje dzieci: dwóch chłopców Staś i Zygmunt i dziewczynka Zosia.

Rozmaicie się między dziećmi zdarzało: raz dobrze się bawili, a innym razem trochę się po-

